

Wojciech Stanisławski: Zielonofioletowa wierność

„Duchy opiekuńcze” to proza złożona ze światła i odbić, wielopiętrowych, skrzących się, lustrzanych, splecionych odbiciami jak w którymś z mniej znanych traktatów Athanasiusa Kirchnera o sztuce optyki – i z wiśniowych, dymnych cegieł, z których stawiane były familoki i kopalniane mury.

A czasem można docenić prozę już tylko tym, jakie pojawiają się w niej wyrazy dźwiękonaśladowcze. W dyscyplinie onomatopei łatwo o przefajnowanie, o beztroskie słowotwórstwo nie prowadzące do niczego, figle rysownika komiksów. Ale – można inaczej. Trzaska, cienka deszczułka, odskakująca od łamanej na podpałkę skrzynki po pomidorach – *brynk!* Komin kopalni robi – *pyf*, czasem – *pyff*. A wielkie piece Huty Królewskiej? One są jak oddech mastodonta – *akh arh*.

O dźwiękach jest w tej książce więcej, czasem tak mistrzowsko, jak w dłuższym fragmencie o imionach kopalń: „niektóre były kobiece i dźwięczne, jakby operetkowe, inne męskie i dumne. «Kleofas» był gdzieś pośrodku, trochę obcy, trochę śmieszny, jak poważny młodzieniec z brodą. Jego imię miało barwę ciemną – zielonofioletową. *K* było zielone, *kle* pocieszne jak ptasi dziób albo pranie na wietrze, przy *o* imię zakręcało i wpół obrotu pojawiało się fioletowe *f*, a potem, na końcu, wulgarne *fas*, które prowadziło na wyrobisko. Było to imię-krajobraz. *K* – oznaczało drzewa, wzgórza, wieże, domy. *Kle* – wiatr,

prąd, szyby, dźwigi, kominy, tary i dzieże. *O* – obroty wyciągów, pompy, koła zamachowe, rozdzielnie, windy, maszyny, pojazdy, księżyc. *F* – kościoły, księży, święta, cmentarze, umarłych związanych przysięgą. *Fas* – wyrobiska, groby, doły, wody podziemne, opuszczone sztolnie”. Jak fantastycznie w tej prozie poskładane jest wszystko zrozumiemy dopiero, kiedy kilkanaście stron później okaże się, że Benedykt cenił w Reni „jej fiołkowo-butelkowozielone światło, ciemny pigment warg, weneckie szybki oczu” – a na kolejnej stronie rzeczywistość „wypełni się specjalnymi światłami, jakby na kasztanowcach wokół szkoły ktoś pozawieszał nocą olbrzymie żyrandole z Murano, wielopiętrowe, przezroczyste i kruche”. „Duchy opiekuńcze” to proza złożona ze światel i odbić, wielopiętrowych, skrzących się, lustrzanych, splecionych odbiciami jak w którymś z mniej znanych traktatów Athanasiusa Kirchnera o sztuce optyki – i z wiśniowych, dymnych cegieł, z których stawiane były familoki i kopalniane mury. A czasem z ułamka takiej cegły, ciśniętego chłopacką dłonią.

To przecież – przekonuję sam siebie – tylko zbiór fragmentów. Przez samego autora podzielonych na wstępne „Refleksy”, dziesięć stanowiących rdzeń książki „Opowiadań” oraz zamykające ją, brzmiące po kirchnerowsku (i słusznie, bo to zjawisko chemiczno-geologiczne) „Pseudomorfozy”, czyli podmiany i przekształcenia. To podział zresztą umowny, jeszcze jeden gest szlachetnej nonszalancji autora, bo przecież opowiadań zachowujących podręcznikową formę jest zaledwie kilka (w tym zapierający dech „Pendelverkehr” i równie dobry „Księgarz”), zaś formy opowieści obecne są i w „Refleksach” i w „Pseudomorfozach”, narrator opowiada siebie w pierwszej i trzeciej osobie, chowa pod różnymi imionami, i te same osoby, ich siwy warkocz, białą skórę, łobuzerski uśmiech odbija w kolejnych, a czasem

tych samych postaciach, jakby staw w wyrobisku odbijał hałdy, jakby dwa zasmolone lufki dwóch pompierskich kamienic nagle, u schyłku dnia, grały w dwa ognie (ogień huty).

Tak, to właśnie cenię w prozie, mógłbym to wyliczać niczym składniki na karminadłe: drobno zmielona łopatka lub karczek, namoczone w wodzie lub chudym mleku dwie czerstwe bułki, dwadzieścia deko drobno posiekanej cebuli... Dobra, naprawdę dobra proza powinna mieć głód szczegółów, sroczą potrzebę gromadzenia, kumulowania barw, rzeczy, nazw („Chodziłem pieszo do Chorzowa i do Siemianowic. Z Szopienic na Dąbrówkę, z Dąbrówki do granicy Sosnowca. Przez Załęską Hałdę do Ligoty. Z Bogucic do Czeladzi. Z Załęża do Kochłowic. (...) Jeździłem tramwajami całe dni, wszędzie, gdzie się dało”. I jeszcze: „...o światłach fizycznych pisałem już nieraz: o kałużach, chmurach, dymach, łunach, neonach, oknach tramwajów, domowych lampach i świecach, ognikach papierosów, tablicach rozdzielczych, puszkach na przyprawę, szybkach kredensów, gwiazdach na nieboskłonie, żarze w popielniku”). Musi mieć zachwyty światem, którego „było za dużo i bisował nieskończoną ilość razy”, jak pisał w „Jechać do Lwowa” wychowanek położonych na drugim biegunie śląskiej aglomeracji Gliwic, Adam Zagajewski. Powinna mieć męską nostalgię za tym, co nigdy nie wróci, wyrażoną w dostojnym, etnograficznym, bezosobowym „mawiano, bywano, jadano” i korzenie sięgające lat nastoletnich, tej decydującej o całym życiu dekady odkryć, zakochań i porażek. Musi być solenna i drwiąca, poważna i niepoważna, nie wstydzić się zielonofiołkowych synestezji i nie bać się konkretności kradzieży, chrupiącej chrząstki, agonii, śmierci i czarnych, skudłanych włosów ciotki Trudli.

I dobrze, jeśli jest wierna, jeśli opowiada, nienatrętnie, lecz z repetycją, dzieje rodu, ujków i ciotki, wymienia opiekuńcze duchy, wylicza je i pokazuje rozmyte, szare jak blenda ołowiowa fotografie. I jeśli jest, podkreślmy to raz jeszcze, nonszalancka, mieszając formy, obok wspomnienia starego dachu, gdzie pachnie smołą i bzem (napisane jest to tak plastycznie, że czytelnikowi robi się błogo i dymnie w ustach) umieszczając strzęp niedokończonego eseju o różnicach w fotografowaniu Śląska przez Wojciecha Wilczyka i Michała Całę – ot, bo tak się autorowi podoba. I jeśli z niemal arogancką pewnością (ale ja tę pewność, na ile potrafię zrozumieć, podzielam) dekretuje, że czterech największych Ślązacy drugiej połowy XVII wieku to „opat krzeszowski Bernard Rosa, biskup wrocławski Sebastian Rostock, mistyk Angelus Silesius i malarz Michał Willmann”. I funduje nam złote szpile, złote windy erudycji, pisząc na jedną stronę portret pochodzącego ze Śląska malarza Francesca Curradiego (1570 – 1661) – by za chwilę z wiewiórczym apetytem wrócić do czekolady z całymi orzechami, okrytego cynfolią daru z paczek. Oto barok! I wspomina mężczyzn w białych świątecznych koszulach idących przez pola do Piekar tak po prostu, jakbyśmy nie żyli na karuzeli celebryckich apostazji i spadku powołań, jakby dalej w niewiarygodnym ścisku na dziedzińcu bazyliki kazanie mówił kardynał Wojtyła z Krakowa.

Jeśli trafi się taka proza, jest szansa, że wyobrażenie Śląska, przez przeciętnego, biednego warszawiaka budowane standardowo niczym domek Lego z wyimków z Kutza i Twardocha (dobrze jeszcze, jeśli uzupełnionych o Wańka i Rokitę) załśni nowymi odbiciami, żyrandolami na kasztanowcach. A fantastyczna nonszalancja i wierność autora i w tym się wyraża, że prozę tej miary, choć przecież mogłaby bez ochyby ukazać się nakładem jakiegoś wielkiego wydawnictwa, w komplecie z profesjonalną promocją, tournée i laminowaną zakładką –

wydał w Archiwum Galerii Zderzak, i że usłyszeć o niej można, jak i mnie się zdarzyło, tylko od przyjaciół. Jest w tym i symetria, niczym w odbiciach weneckich szybek – bo przecież i Galeria Zderzak, przez czas swego dzieciństwa, młodości, dojrzałości i obecny, była i jest podobna: nonszalancka i wierna.

Jan Michalski, „duchy opiekuńcze”, Archiwum Galerii Zderzak, Kraków, 2024



Wojciech Stanisławski

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
